

Prolog

19 LIPCA 1692

Salem, Massachusetts

Sara Goode nie uniosła powiek, kiedy zaczęli sprawdzać, czy zapadnia szubienicy działa jak należy. Procter's Ledge znajdowało się wprawdzie spory kawałek od budynku sądu, w którym uwięziono Sarę, ale wiatr niósł złowieszcze brzmienie i przeciskał je przez kraty nieoszkłonego okna nad jej głową. Usłyszała metaliczne zgrzytnięcia dźwigni otwierającej klapę, a po nich odgłosy napinanego sznurka, kiedy to zastępujący ciało ciężki, płócienny worek z piaskiem opadał w czeluście zapadni: zgrzyt-trzask-tonk. Prostacki rechot i fragmenty rozmów mężczyzn przygotowujących narzędzie kaźni przylatywały do Sary przez cichą, spokojną noc niczym osy, które lada chwila miały ją użądlić.

Leżąca obok matki na wąskiej pryczy małeńka Dorothy poruszyła się niespokojnie. Sara pogłaskała dziecko po wychudłych plecach. Odetchnęła głęboko i wypełnił ją smak rozmarynu. Z ledwością utrzymywała na wodzy gniew, który czuła wobec tamtych. Nie dość, że wymyślili sobie, że wtrąca do więzienia i ukarzą za czary ją, to jeszcze umieścili w nieprzyjaznej zimnej celi jej niewinną czteroletnią córeczkę. Bezwzględni głupcy wykryli, że mała ma na paluszku ukąszenie pchły – tak, pchły!

Wiedzmi czar

Oczywiście, Sara zwróciła wcześniej uwagę na znaki ostrzegające o grożącym niebezpieczeństwie: kruka, który wykrzykiwał pod jej oknem przez trzy ranki z rzędu, korzenie mandragory, które, gdy je wykopała, okazały się całkiem przegniłe, a zwłaszcza na martwego królika, którego znalazła na progu swojego domu.

Nie zlekceważyła ostrzeżenia i przygotowała się na atak. Nie spodziewała się jednak, że miejskie władze zaczną działać tak szybko ani też, że jej mąż stanie po stronie oskarżycieli.

A w dniu, w którym ujrzała konstabla Lockera przy zakratowanym wejściu do jej więziennej celi, trzymającego maleńką dłoń Dorothy w swoim wielkim łapsku, kompletnie się załamała.

Konstabl otworzył wówczas kratę i wepchnął dziecko do środka, mówiąc:

– Ano, ano, znaczy, prawda to. Dziecię przyznało się do czarów i ma na sobie znak szatana. Z tobą tedy szczeźnie.

Tamtego dnia Sara zdała sobie sprawę, że miasto nieprędko otrząśnie się ze zbiorowego szaleństwa, które pochwytiło je w swoje szpony. Nie było szans, żeby mieszkańcy Salem przejrżeli nagle na oczy i uwolnili Sarę oraz jej ukochaną córeczkę. Zresztą nawet gdyby to zrobili, gdzie by się podziała mała? Miałaby wrócić do tego zdrajcy, swojego ojca?

Sara musiała radzić sobie sama.

Zgrzyt. Trzask. Tonk – odgłos gwałtownie naprężonego sznura. Tym razem do uszu Sary dobiegł odrażający męski rechot, po którym nastąpiły oklaski.

Dorothy poruszyła się niespokojnie, więc Sara zaczęła cichutko nucić melodię kołysanki, głaszcząc dziecko po plecach. Zazwyczaj śpiewała córeczce, ale nie tej nocy. Tej nocy Sarze zależało jedynie na tym, żeby uspokoić małą, by nie robiła hałasu. Musiała skupić się na czymś naprawdę ważnym – musiała starannie i niespiesznie przeżuć na wonną papkę gałązkę rozmarynu.

Najwyższy czas. Przygotowywali szubienicę nocą, Sara była więc

pewna, że o świcie zawiśnie razem z czterema innymi kobietami: Martin, Howe, Nurse i Wilde.

To był jedyny logiczny scenariusz, bo kto bez konkretnej przyczyny zarywałby noc?

Dlaczego do tego wszystkiego doszło? Usta Sary wykrzywiły się w niemym grymasie, gdy odpowiedź pojawiła się w jej umyśle – wszystko to działo się dlatego, że okrucieństwo mieszało się w tych ludziach ze strachem.

Mężczyźni o ciasnych umysłach, rządzący miasteczkiem Salem, nazywali północ godziną czarownic, a tak naprawdę nie mieli o niczym bladego pojęcia. Wyobrażali sobie, że przegonią szatana i nie pozwolą stworowi z rozwidlonym jęzorem wmaszerować do miasta. I że tym sposobem ocala przed złem kobiety nazwane przez wielebnego Noyesa diablami służkami.

Każdą z kobiet umieszczono w innej części sądowego budynku, aby nie mogły się ze sobą porozumieć i wspólnie przywołać swojego mrocznego pana.

Sara zachnęła się – nieszczęsne ofiary losu. Wszystkie cztery.

Z tych czterech kobiet, które miały zawisnąć o świcie, były takie czarownice jak z wielebnego Noyesa czarnoksiężnik.

Oby ten ich potworny bóg dał im do picia wyłącznie krew za to całe nieszczęście powstałe z jego winy. Ja zaś, jeśli już jestem czyjąś służką, to jedynie Wielkiej Matki Gai – pomyślała Sara.

Sara Goode wierzyła w szatana mniej więcej tak samo jak w krasnoludki.

Zgrzyt. Trzask. Odgłos naprężanego sznura.

Te dźwięki nie robiły już na Dorothy większego wrażenia. Spała spokojnie, cichutko pochrapując. Sara mogła dzięki temu bez reszty oddać się zaklęciu nadającemu moc wonnej rozmarynowej pulpie. Wcześniej zerwała ukradkiem pęd rozmarynu podczas krótkiego wyjścia, kiedy zaprowadzono je do latryny, aby sobie ulżyły. Teraz Sara, przeżuując rozmaryn, powtarzała w myśli intencję, wciąż i wciąż.

Wiedzmi czar

*Pamiętaj, pamiętaj, roślino święta;
żuj i czuj, i trzy razy po trzy,
niech sen go ogarnie i śnią mu się sny...*

– Iiiiau!

Głos kota rozległ się tuż pod drzwiami sądowego więzienia, dziwaczny akompaniament do makabrycznej muzyki szubienicy. Ale dla uszu Sary koci zew był niczym woda na pustyni dla spragnionego wędrowca. Delikatnie musnęła dłonią ramiona córeczki.

Dziewczynka natychmiast otworzyła swoje zielone jak mech oczy.

Sara przyłożyła palec do ust, na co Dorothy skinęła główką, a w jej oczach błysnęło zrozumienie. Dziecko nie poruszyło się i nie odezwało. Wcale nie zamierzało już spać.

– Iiiiiiau!

– Wciórności! – Konstabl Grant, młody mężczyzna pełniący tej nocy straż, kilkakrotnie już sprawdzał w celach, co się dzieje ze skazanymi, a od pewnego czasu siedział za dębowym stołem.

Usłyszawszy miauczenie, zerwał się jak oparzony. Odłożył tanie cygaro na półkę kominka, zatrzaskał biblię gwałtownym ruchem, lecz wciąż trzymał ją w kościstych dłoniach. Spoglądał na drzwi.

– Iiiiau!

Konstabl sięgnął ponownie po cygaro, wetknął je w zęby i stanowczym krokiem ruszył w kierunku sądowego więzienia. W budynku znajdowały się trzy małe cele usytuowane wzdłuż tylnej ściany i tylko jedna z nich była zajęta.

– Idź precz, szatański pomiole! – zawołał strażnik, nie wyjmując cygara spomiędzy zębów, a potem otworzył drzwi na oścież i machnął księgą.

Wielkie kocisko prześlizgnęło się obok niego bez trudu i pognało prosto do celi, w której przebywały Sara i jej córka. Konstabl Grant zatrzaskał drzwi, odwrócił się i dopiero wtedy zauważył kota. Wypluł

cygaro, upuścił biblię i kręcąc z niedowierzaniem głową, wbił wzrok w pręgowanego zwierzaka, który bezczelnie ocierał się o pręty, mrużąc przy tym ostentacyjnie.

Sara ścisnęła ramię córki. Nadszedł czas.

Dorothy w jednej chwili usiadła, wyciągnęła rączki i zawołała:

– Mamo! Odyseusz! To Odyseusz!

Następnie zaś, jak ćwiczyły to wcześniej, mała podbiegła do zakratowanych drzwi, gdzie przysiadła na piętach i wyciągnęła obie rączki, aby pogłaskać kota. Kota tak ogromnego, że większość psów w miasteczku była od niego mniejsza, wszystkie zaś panicznie się go bały.

– Zabierz tego dzieciaka! Zabieraj go, mówię! Nie zezwolę, żeby się tu kręcił czarci zwierz!

Konstabl Grant chwycił pogrzebacz i zamachnął się nim, grożąc mrużącemu kotu i roześmianemu dziecięciu.

Sara krzyknęła z udawanym przerażeniem w głosie tłumionym przez kulę przeżutego rozmarynu, którą miała w ustach, i przypadła do dziecka – gdy zaś konstabl znalazł się przy samej kratce, spojrzenia Odyseusza i Sary spotkały się. Kobieta skinęła głową, na co kocur zgrabnie przecisnął się między prętami, a po chwili jak wystrzelony z procy wpadł do celi i natychmiast zwinął się w kłębek na kolanach Dorothy.

Konstabl Grant uderzył pogrzebaczem w kratę, czerwony ze złości, i znów zawołał:

– Nie zezwolę, żeby czarci pomiot się tu kręcił!

Sara stała już przy kratce. Zerknęła na rozjuszonego strażnika, którego miała na wyciągnięcie ręki, i plunęła mieszaniną rozmarynowej papki, śliny oraz intencji prosto w jego twarz.

Konstabl wypuścił z dłoni pogrzebacz. Żelastwo uderzyło z brzękiem o kamienną posadzkę, a mężczyzna zakwiczał dziwacznie, gorączkowo usiłując zetrzeć z siebie zielonkawą masę, która upstrzyła mu całą twarz i dostała się do oczu.

Wiedzmi czar

Sara uniosła ręce i ukorzeniła się w podłożu. Całym jestestwem sięgnęła głębiej i głębiej, i jeszcze głębiej przez kamienną podłogę, aż po żyzną glebę poniżej, i zaczerpnęła drzemiącej tam mocy, niezmiennej niczym siła księżycy przyzywająca przyływ. Poczowała, jak żar ziemi rozgrzewa jej skórę, a włoski na przedramionach stają dęba.

Sara Goode przemówiła nagłym tonem, a w jej głosie pobrzmiwały nieskończona pewność i bezbrzeżne przekonanie, które tak doskwierały mężczyznom z Salem, że aż uznali, że trzeba ją powiesić:

Rozmarynu moc o północy żutego zaraz uczyni z ciebie ślepego!

Grant jęknął, gdy tylko padło pierwsze słowo zaklęcia. Jego twarz pobieliała niczym wapno, zachwiał się i zaczął rozpaczliwie przecierać oczy. Postąpił na oślep krok w tył – niezdarnie, jakby nie potrafił się przebudzić z dręczącego koszmaru. Opadł ciężko na kolana, wciąż gorączkowo ocierając twarz.

*Ciężkie twoje serce, ciężkie myśli twe,
o wszystkim zapomnisz, gdy obudzisz się!*

– Szatańska nierządniczo! – wybełkotał jeszcze, dźwigając się z trudem.

Sara nie zwróciła na to uwagi i dalej wypowiadała zaklęcie:

*Przemożny cię złoży sen,
lecz wpierw spełnij rozkaz ten:
nim myśl uśnie, głowo hucz:
wpierw rzuć klucz, rzuć klucz, rzuć klucz!*

– Nie poddam się twojej woli! – Konstabl Grant sięgnął po omacku do kieszeni, namacał w niej żelazne kółko od kluczy, cofając

się chwiejnym krokiem w kierunku drzwi. – Wiedzmo! Nigdy nie dostaniesz... – urwał, gdy potknął się o leżącą na podłodze, upuszczoną wcześniej biblię.

Runął, młócąc ramionami powietrze.

Głowa Granta uderzyła w róg stołu i strażnik padł bez czucia na podłogę. Podczas upadku dłoń konstabla otworzyła się i klucze wylądowały na kamieniach z melodyjnym brzękiem.

– Szybko, Odyseuszu! – nakazała Sara kotu, który w mig zeskończył z kolan Dorothy, precyzyjnie przecisnął się z powrotem między prętami, a potem dał susa w kierunku leżącego strażnika.

Błyskawicznie pochwycił w pysk kółko z kluczami i wrócił z nimi do celi.

Sara potrzebowała zaledwie chwili, żeby otworzyć kratę. Kiedy już razem z Dorothy znalazły się na zewnątrz, Sara zamknęła ją z powrotem, a następnie włożyła klucze do głębokiej kieszeni konstabla.

Odyseusz warknął cicho.

Sara skinęła głową.

– Tak, tak. Wiem. Ale gdy się obudzi, nie będzie pamiętał, co się wydarzyło. Zobaczysz tylko pustą celę. Rozpowie potem, jak to ta czarownica Goode i jej czarci pomiot za sprawą czarów przeniknęły przez żelazne kraty, dosiadły zapewne grzbietu szatana i zniknęły w ciemnościach... Tym szatanem pewnie będziesz ty, mój drogi Odyseuszu.

Kocisko zamruczało, ocierając się o nogi swojej pani.

– Ta opowieść lepiej mnie uchroni przed pościgiem, niż gdybym go związała albo zamknęła w celi.

Odyseusz zaświergotał po kocie, zadowolony, a Sara ujęła małą dłoń Dorothy i spokojnie wyszły razem na zewnątrz.

Noc była ciemna i cicha, przepiękna aromatem rozmarynu. Sara czekała niecierpliwie na kolejny złowieszczy zgrzyt dźwigni uruchamiającej zapadnię szubienicy. Nastąpił wkrótce, tak jak się spodziewała, a zaraz po nim rozległa się głośna rozmowa mężczyzn,

Wiedzmi czar

której towarzyszyły, tak jak poprzednio, śmiech i aplauz. Wszystko to skutecznie zagłuszyło niepożądane dźwięki, jakie mogły powstać, gdy Sara i jej dziecko oraz futrzasty czworonóg wydostawali się z więzienia.

Przemykali wzdłuż ściany budynku, a potem przebiegali od cienia do cienia, zmierzając ku obrzeżom miasteczka.

– Mamo! Mamo! – szepnęła nagłym tonem Dorothy i pociągnęła matkę za rękę.

Sara, nie zatrzymując się, chwyciła córeczkę w ramiona.

– Co, kochanie?

– Pomyliłaś kierunek.

Sara przebiegła przez gruntową drogę, minęła dwa domy z bali i dopiero wtedy odpowiedziała:

– Idziemy do nowego domu. Jest daleko, bardzo daleko.

– Ale ojca tam nie będzie?

Sara zacisnęła usta. Pogłaskała córeczkę po główce, starając się opanować gniew.

– Nie, kochanie. Twój ojciec nie zapewnił nam bezpieczeństwa. Dlatego od dziś to ja będę o ciebie dbać.

Odyseusz, przemykający bezszelestnie obok nich, zaświergotał, zwracając się do Sary jakby z pretensją. Kobieta uśmiechnęła się i dodała:

– Ja i Odyseusz, oczywiście.

– Będziemy dbać o siebie nawzajem – oświadczyła Dorothy poważnym tonem.

Dziewczynka zachowywała się ostatnio jak dorosła osoba, choć miała zaledwie cztery lata.

– Właśnie tak, kochanie. Będziemy o siebie dbać.

Niebo powoli rozjaśniało się wczesną zapowiedzią świtu, przybierając stopniowo szary odcień, kiedy troje uciekinierów dotarło wreszcie do jabłkowego sadu oddzielającego zachodnią część Salem od wiejskich gospodarstw i ciągnących się za nimi lasów.

Sara zwolniła, pozwoliła Dorothy znowu iść obok siebie. Odyseusz trzymał się nieco z tyłu. Cała trójka przemieszczała się pośród drzew, których gałęzie uginały się od ciężaru owoców, kierując się ku najstarszej z jabłoni, w samym sercu sadu.

Sara przyłożyła dłoń do szorstkiej kory i zwróciła się z uszanowaniem do prastarego drzewa:

– Bądź pozdrowiona, dobra przyjaciółko. Dzięki za ciebie składam naszej wielkiej bogini.

Sara uśmiechnęła się, gdy liście nad nią zadrżały w odpowiedzi, choć przecież leniwy nocny wietrzyk całkiem ustał nad ranem. Podeszła do drzewa od północnej strony, tam gdzie dwa potężne korzenie rozwidlały się niczym różdżka. Sara opadła na kolana i zaczęła kopać, zamiast szpadla używając ostrego kamienia.

Już po chwili kamień napotkał opór, a gdy Sara zaczęła odgarniać ziemię, jej oczom ukazało się wieko drewnianej skrzyni. Kobieta nie zadała sobie jednak trudu, żeby odkopać całą skrzynię. Oczyszczyła jedynie wieko, podniosła je i wyciągnęła ze środka płócienną sakwę, którą ukryła w skrzyni dzień wcześniej, kiedy po nią przyszli. Umieściła w sakwie swoje skarby, swoją wyprawkę na nową przyszłość: podróżne płaszcze dla siebie i Dorothy, trochę ubrań na zmianę, skórzaną sakiewkę ze wszystkimi oszczędnościami oraz grimoire opracowany dla niepoznaki jak modlitewnik. Pod księgą spoczywało zawiniątko z materiału ufarbowanego pieczolowicie na zielony kolor mchu oraz oczu jej córki. Znajdowały się w nim puszczałki soli i cenny opał wielkości włoskiego orzecha, który połyskiwał teraz w pierwszej poświacie brzasku.

– Usiądź tu pod drzewem, kochanie – powiedziała Sara do córki.

Wokół prastarego drzewa usypała solny krąg. Potem zaś, mając Dorothy u swoich stóp i Odyseusza u boku, Sara odetchnęła głęboko po trzykroć, przyłożyła opał do czoła i rozpoczęła przywołanie:

Wiedzmi czar

*Wzywam cię kamieniem, solą
prowadź, czuwaj nad mą dola.
Wielka matko sprawiedliwa,
w tobie ma ufność spoczywa.
Proszę, wskaż mi drogę swoją,
ja na zawsze będę twoją.
Prowadź do miejsca wybranego,
gdzie nie zaznamy niczego złego!*

Wypowiedziawszy ostatnie słowo zaklęcia, Sara zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że spogląda poprzez swoje czoło, poprzez gorejący opal i zawartą w nim magię.

– Och, błogosławiona bądź, bogini! Dzięki ci, wielka matko! Dzięki! – Te słowa Sara wypowiedziała bezwiednie, jakby jej usta żyły własnym życiem.

Poszycie zajaśniało nagle zieloną poświatą. Szmaragdowy szlak prowadził od stóp Sary gdzieś na zachód. Przepływająca przez opal moc Gai wzmagala jej widzenie: szlak jarzył się i pulsował energią, im dalej, tym silniej. Czowała jego zew, jakby ciągnęła ją jakaś magnetyczna siła.

Sara uniosła powieki i pokłoniła się nisko.

– Będę podążać twoją drogą, teraz i zawsze. Bądź błogosławiona, Wielka Matko. – Ucałowała opal i odwróciła się twarzą do drzewa. Wspinając się na palce, sięgnęła wysoko, żeby wsunąć kamień w szczelinę między popękana korą. – Dzięki ci, o Matko Jabłoni. Zawsze będę pamiętać, że stanęłaś na straży mojego losu.

Liście znów zadrżały w odpowiedzi.

Dopiero wtedy pozbierała rzeczy, zakopała pustą skrzynię, następnie zaś, trzymając córkę za rączkę, z kocim sprzymierzeńcem u boku Sara Goode przekroczyła solny krąg i ruszyła na zachód, podążając szlakiem mocy, wibrującym pod jej stopami w rytm bijącego serca.